

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

YAH! YAH! YAH!

Jack London

Był Szkotem, pijanicą i tego ciągnął whisky, zaczynając punktualnie o szóstej z rana, od pierwszej kolejki, którą powtarzał w regularnych odstępach czasu przez cały dzień aż do udania się na spoczynek, co zwykle następowało o północy. Sypiał zaledwie pięć godzin na dobę, a przez pozostałe dziewiętnaście był najspokojniej w świecie pijany. W ciągu tych ośmiu tygodni, jakie spędziłem z nim na atolu Oolong, nie widziałem go trzeźwego ani przez chwilę. Prawdę mówiąc, sypiał tak krótko, że nigdy nie miał czasu wytrzeźwieć. Stanowił okazaj najwspanialszego i najregularniejszego pijaka, jakiego spotkałem.

Nazywał się McAllister. Był już stary i kiepsko trzymał się na nogach. Ręce mu się trzęsły jak paralitykowi, co zwłaszcza można było zauważyć, gdy sobie nalewał whisky, choć nie pamiętam, by kiedykolwiek uronił bodaj kropelkę. Dwadzieścia osiem lat przeżył na Melanezji, od niemieckiej Nowej Gwinei aż po niemieckie Wyspy Salomona, i tak całkowicie zespolił się z tą częścią świata, że zazwyczaj posługiwał się owym poczwarnym językiem, zwanym *bêche-de-mer*. Tak na przykład w rozmowie ze mną „słońce on wyleźć” oznaczało wschód słońca, „*kai-kai* przynieść” — że podano obiad, a „mój brzuch on pękać” — że cierpi na żołądek. Był niewielkiego wzrostu, zawiędły i spalony od wewnątrz i od zewnątrz ognistym spirytusem i ognistym słońcem. Zdawał się niejako spopielony, przypominał kawałek żużlu, żużlu ożywionego i jeszcze niezupełnie wystygłego, a poruszał się sztywno, kanciasto, jak automat. Lada podmuch wiatru mógłby go porwać. Ważył dziewięćdziesiąt funtów.

Ale najbardziej zdumiewającą rzeczą była jego władza. Atol Oolong miał sto czterdzieści mil obwodu. W jego lagunie sterowało się według kompasu. Zamieszkiwało na nim sześć tysięcy Polinezyjczyków, krzepkich mężczyzn i kobiet, często liczących sześć stóp wzrostu i po kilkaset funtów żywej wagi. Atol znajdował się o dwieście pięćdziesiąt mil od najbliższego ładu. Dwa razy do roku zawijał tu mały szkuner, ażeby zabrać ładunek kopry. Jedynym białym na Oolongu był McAllister, drobny kupiec i niepoprawny pijaczyna — a przecież żelazną ręką sprawował rządy nad atolem i jego sześcioma tysiącami dzikich. Kiedy kazał im przyjść — przychodzili, kiedy powiedział: odejść! — znikali. Nigdy nie poddawali w wątpliwość jego rozkazu ani osądu. Był swarliwy, jak potrafi być tylko stary Szkot, i ustawicznie wtrącał się do ich osobistych spraw. Kiedy Nugu, córka króla, zapragnęła poślubić Haunaua z drugiego końca atolu, jej ojciec wyraził na to zgodę, ale McAllister sprzeciwił się i małżeństwo nie doszło do skutku. Kiedy król chciał zakupić od arcykapłana pewną wysepkę na lagunie, McAllister powiedział „nie”. Król winien był Kompanii około stu osiemdziesięciu tysięcy orzechów kokosowych i póki tego nie zapłacił, nie mógł wydać ani jednego orzecha na inny cel.

Jednakże król i jego poddani nie kochali McAllistera. Po prawdzie nienawidzili go okropnie i o ile mi wiadomo, cała ludność z kapłanami na czele przez trzy miesiące daremnie usiłowała wymodlić sobie jego śmierć. Szatany, które nań nasyłali, budziły zgrozę, ale ponieważ McAllister nie wierzył w szatany, nie miały nad nim żadnej władzy. Wobec pijanych Szkotów zawodzą wszelkie czary. Zbierano resztki jedzenia, których dotknęły jego usta, pustą butelkę po whisky, orzech kokosowy, z którego pił, a nawet jego ślinę i odprawiano nad tym przeróżne diabelstwa. Ale McAllister żył nadal. Cieszył się doskonałym zdrowiem. Nigdy nie miewał febry, kaszlu ani kataru, dyzenteria go omijała, a złośliwe ropnie i obrzydliwe schorzenia skóry, atakujące na równi białych i czarnych w tym klimacie, nie miały się go w ogóle. Musiał być tak nasiąknięty alkoholem, że zarazki nie mogły się go uczepić. Wyobrażałem sobie, jak opadają na ziemię gradem mikroskopijnych drobinek, gdy tylko znajdą się w zasięgu jego przesyconej wódką aury. Nikt go nie kochał, nawet zarazki, on zaś kochał jedynie whisky, a jednak żył.

Była to dla mnie zagadka. Nie mogłem pojąć, jak to się dzieje, że sześć tysięcy krajowców ulega

temu wynędzniałemu, zasuszonemu tyranowi. Cud prawdziwy, że nie zginął nagłą śmiercią już dawno temu. Ludność atolu, w przeciwieństwie do tchórzliwych Melanezyjczyków, była zawadiacka i wojownicza. Na wielkim cmentarzysku, u wezłowi i w nogach mogił, spoczywały pamiątki dawnych, krwawych wydarzeń — łopatkę do wykrawania tłuszczu wielorybiego, stare, zardzewiałe bagnety i kordelasy, miedziane sworznie, żelazne części rudli, harpuny, bombardy, cegły, które mogły pochodzić jedynie z pieców do wytapiania tłuszczu na okrętach wielorybnych, oraz stare działka spiżowe z szesnastego wieku, które były potwierdzeniem legend o dawnych hiszpańskich żeglarzach.

Na Oolongu okręt za okrętem spotykała katastrofa. Niecałe trzydzieści lat temu statek wielorybny „Blennerdale”, który wpłynął na lagunę dla dokonania naprawy, dostał się do niewoli wraz z całą załogą. W podobny sposób zginęła załoga „Gasketu”, statku przewożącego drzewo sandałowe. Wielki francuski bark *, „Toulon”, który przed atolem zaskoczyła cisza morska, zdobyli wyspiarze po zaciętej walce i zatopili w przesmyku Lipau, przy czym kapitanowi udało się uciec szalupą wraz z garścią marynarzy. Hiszpańskie działka zaś świadczyły o klęsce jakiegoś okrętu dawnych odkrywców. Wszystkie te wydarzenia należą już do historii i można je odnaleźć w „Księdze Żeglarskiej Południowego Pacyfiku”. Jednakże miałem się jeszcze dowiedzieć, że istnieje także inna historia, nie pisana. Tymczasem zachodziłem w głowę, dlaczego sześć tysięcy pierwotnych dzikusów pozostawia przy życiu jednego zwyrodniałego szkockiego despotę.

Pewnego upalnego popołudnia siedziałem z McAllisterem na werandzie wychodzącej na lagunę, która mieniła się niczym klejnot cudnymi barwami. W tyle, za szerokim na sto jardów pasmem usianego palmami piasku, fale pełnego morza, okalającego z zewnątrz atol, rozbijały się z hukiem o rafy. Było straszliwie gorąco. Znajdowaliśmy się pod czwartym stopniem szerokości geograficznej i słońce, które w swojej wędrówce na południe minęło przed kilkoma dniami równik, wisiało wprost nad naszymi głowami. Nie było wcale wiatru — nawet najłżejszego podmuchu. Okres południowo-wschodnich pasatów dobiegał przedwcześnie końca, a pół-nocno-zachodni monsun nie zaczął jeszcze wiać.

— Nie potrafią tańczyć ni cholery — powiedział McAllister. Zdarzyło mi się bowiem napomknąć, że tańce polinezyjskie stoją wyżej od papuaskich, czemu McAllister zaprzeczył tylko z wrodzonej kłótności. Było jednak za gorąco, aby się spierać, więc nie odrzekłem ani słowa. Poza tym nigdy nie widziałem, jak tańczą ludzie z Oolongu.

— Ja panu tego dowiodę — oznajmił przyzywając skinieniem zwerbowanego do pracy czarnego chłopca z Nowego Hanoweru, który pełnił funkcje kucharza i służącego. — Ty, chłopak, ty powiedz król, żeby tu przyjść do mnie.

Chłopiec odszedł, a po chwili zjawił się pierwszy minister, zmieszany, zakłopotany, tłumacząc się gęsto i przeprasząc. Krótko rzekłszy, król spał i nie można mu było przeszkadzać.

— Król spać mocno za bardzo — oświadczył na zakończenie.

McAllister wpadł w taką pasję, że pierwszy minister w popłochu wziął nogi za pas i wrócił z samym królem. Tworzyli przepyszną parę, zwłaszcza monarcha, który musiał liczyć nie mniej niż sześć stóp i trzy cale wzrostu. Rysy jego twarzy miały w sobie coś orlego, co często się spotyka u Indian północno-amerykańskich. Urodził się i wychował do rządzenia. Gdy słuchał, oczy jego miały błyskawice, lecz mimo to potulnie zastosował się do rozkazu McAllistera, który polecił mu zwołać kilkuset co najlepszych tancerzy i tancerek z wioski. Jakoż zaczęły tańczyć i tańczyli tak przez dwie mordercze godziny w piekących promieniach słońca. Najwyraźniej nie kochali za to McAllistera, ale jemu było to obojętne i w końcu odprawił tancerzy wśród wywisk i szyderstw.

Nikczemna służalczość tych wspaniałych dzikusów była przerażająca. Skąd się to brało? Na czym polegała tajemnica tego człowieka? W miarę jak dni upływały, dziwiło mnie to coraz bardziej i

choć wci ż mia em dowody jego niepodzielnej w lady, nie mog em ani rusz znale c klucza do tej zagadki.

Pewnego dnia zdarzy o mi si  wspomnie  McAllisterowi o moim rozczarowaniu z powodu nieudanej pr by nabycia pary pi knych, pomarańczowych muszli. W Sydney dosta bym za nie pi c funt w jak nic. Zaofiarowa em dwie cie cegie ek tytoniu w lascicielowi, który jednak domaga  si  trzystu. Gdy mimochodem o tym napomkn em, McAllister natychmiast pos a  po niego, zabra  mu obie muszle i wr czy  je mnie. Pozwoli  mi zap aci  za nie tylko pi cdziesi t cegie ek. Krajowiec przyja  tyto  i by  najwyraźniej uradowany, Źe wykr ci  si  tak  atwo. Co do mnie, postanowi em w przysz oci trzyma  j zyk na wodzy. I wci ż  ama em sobie g ow  nad sekretem w lady McAllistera. Posun em si  nawet tak daleko, Źe zapyta em go wprost, ale tylko przymkn a  jedno oko, zrobi  tajemnicz  min  i poci gn a  nast pny haust whisky.

Pewnej nocy pop yna em  owic ryby na lagunie w towarzystwie Otego, krajowca, kt remu odebrano owe muszle. Potajemnie doda em mu jeszcze sto pi cdziesi t cegie ek tytoniu, wskutek czego nabra  dla mnie szacunku granicz cego z czciz , co by o o tyle osobliwe, Źe liczy  sobie przynajmniej dwa razy wi cej lat niŹ ja.

— Dlaczego wy kanaka tacy strachliwi? — zagadn em. — Ten kupiec, on jeden cz owiek. Wy kanaka duŹo za bardzo ludzi. Wy ludzie kanaka jak psy: duŹo strach przed ten cz owiek. On was nie zje c. Dlaczego wy taki wielki strach?

— A jakby duŹo cz owiek kanaka jego zabi c? — zapyta .

— To on umrze  — odpar em. — Wy ludzie kanaka dawno temu zabi c duŹo bia y cz owiek. Dlaczego ba  si  ten bia y?

— Tak, my ich duŹo zabi c — brzmia a odpowiedź. — Daj  s owo! Mn stwo! Dawno. Raz, jak ja by  m lody za bardzo, jeden duŹy okr t tu przyplyna . Wiatr on nie wia c. DuŹo cz owiek kanaka wsi a c w cz olna, w duŹo cz olna i z apa c ten okr t. My bardzo si  bi c. Dw ch, trzech bia y cz owiek strzela c jak diabe . My nie ba c. My podplyna c, wej c na okr t duŹo cz owiek, moŹe pi cdziesi t razy po dziesi c. Na ten okr t by  jedna bia a kobieta. Ja jeszcze nigdy nie widzie c bia a kobieta. DuŹo bia y cz owiek zabity. Jeden kapitan, on nie zabity. I jeszcze pi c, sze c bia y cz owiek nie zabity. Kapitan on krzyce c. Kilka bia y cz owiek oni bi c. Jeden bia y cz owiek spu ci c  odŹ i wszyscy oni wsi a c. Kapitan, on opu ci c w  odŹ bia a kobieta. A potem mocno wios owa c mn stwo. M j ojciec wtedy by  silny cz owiek. On w nich rzuci c dzida. Ta dzida wej c w bok ta bia a kobieta. I nie zatrzyma c si , ale wyj c z drugi bok. Ona umrze c. Ja nie ba c. DuŹo kanaka nic nie ba c.

Widocznie musia em urazi c dum  starego Otego, gdyŹ nagle  ci gn a  sw   ava- ava i pokaza  mi bliŹn  pochodz c  najwyraźniej od kuli. Zanim zd czy em co  powiedzie c, jego linka pocz a  nagle wylatywa c z cz olna. Przytrzyma  ja i poprobowa  wyci gn c, ale ryba snadŹ okr ci a link  naoko o ga eŹi koralu. Obrzuci  mnie spojrzeniem pe nym wyrzutu za to, Źe odwr ci em jego uwag , wyskoczy  za burt  nogami naprz d i znalaz szy si  pod wod  przekozio kowa , po czym sp yna  na dno wzd uŹ linki. W tym miejscu by o g eboko na dziesi c saŹni. Wychyli em si  i  ledzi em ruchy jego st p, kt re nikn y mi z oczu zapalaj c upiorne ogniki po r d bladej fosforescencji. Dziesi c saŹni, czyli sze cdziesi t st p, by o dla tego starca fraszk  w por wnaniu z warto ci  haczyka i linki. Po d uŹszej chwili, kt ra zdawa a si  trwa c z pi c minut, cho  pewnie nie przekroczy a minuty, dojrza em, jak wyp ywa  opromieniony bia ym  wiat em. Wynurzy  si  na powierzchni  i wrzuci  do cz olna dziesi ciofuntowego sztokfisa, w kt rego pysku tkwi  nienaruszony haczyk z link .

— MoŹe by  — powiedzia em bezlito nie — Źe wy nie mie c strach dawno temu. Ale teraz wy mie c mn stwo strach przed ten bia y cz owiek.

— Tak, mn stwo strach — wyzna , najwyraźniej chc c sko czy c z tym tematem. Przez nast pne

pół godziny rzucaliśmy i wyciągaliśmy linki w milczeniu. Potem zaczęły brać przynętę małe rekiny, więc utraciwszy po jednym haczyku wybraliśmy linki z wody i czekali, aż rekiny odpłyną.

— Ja tobie powiem prawdę — odezwał się Oti. — Wtedy ty wiesz, dlaczego my teraz bać.

Zapaliłem fajkę i zamieniłem się w słuch, a Oti opowiedział mi w potwornym *beche-de-mer* historię, którą tutaj przekładam na zwykły język. Poza tym opowieść utrzymana jest w takim samym duchu i porządku, w jakim usłyszałem ją z ust Otiego.

— Po tamtej bitwie wbiliśmy się w pychę. Często walczyliśmy z obcymi białymi, co żyją na morzu i zawsze ich zwyciężali. Kilku z nas zginęło, ale cóż to jest w porównaniu do tych tysiącznych bogactw, jakie znajdowaliśmy na statkach? A potem któregoś dnia, ze dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat temu, wpłynął przez przesmyk na lagunę szkuner. Był duży i miał trzy maszty. Załoga składała się z pięciu białych i blisko czterdziestu czarnych z Nowej Gwinei i Nowej Brytanii. Przypłynęli tu łowić trepangi. Statek stanął na kotwicy po drugiej stronie laguny, koło Pauloo, a jego łodzie rozproszyły się wszędzie i załogi rozbiły obozowiska na plażach, aby tani wędzić trepangi. Rozdzielając się w ten sposób, osłabili się, gdy ci, którzy łowili tutaj, byli o pięćdziesiąt mil od tych, co zostali na szkunerze stojącym koło Pauloo, a inni odpłynęli jeszcze dalej.

Nasz król zwołał przywódców na radę, a ja należałem do osady czółna, które całe popołudnie i całą noc płynęło przez lagunę, aby dać znać ludziom z Pauloo, że rano napadniemy jednocześnie na wszystkie obozowiska, oni zaś mają zdobyć szkuner. My, którzyśmy przynieśli tę wieść, byliśmy zmęczeni wiosłowaniem, lecz mimo to wzięliśmy udział w ataku. Na szkunerze znajdowali się dwaj biali, kapitan i drugi oficer, oraz z pół tuzina czarnych. Kapitana i trzech jego ludzi schwytaliśmy na brzegu i zabili, ale przedtem położył trupem ośmiu naszych strzelając z dwóch rewolwerów. Bo trzeba dodać, że walczyliśmy z bliska, pierś w pierś.

Odgłosy walki powiedziały oficerowi, co się święci; załadował więc żywność, wodę i żagiel do małej łódki, która nie miała więcej niż dwanaście stóp długości. Uderzyliśmy na szkuner w tysiąc ludzi, a nasze czółna pokryły lagunę. Prócz tego dęliśmy w konchy, śpiewali pieśni wojenne i bębnilo wiosłami o boki czółen. Co mógł nam zrobić jeden biały i trzech czarnych chłopców? Nic — i oficer o tym wiedział.

Biali ludzie to szatany. Często przyglądałem się im, jestem już teraz stary i wreszcie zrozumiałem, dlaczego zabrali wszystkie wyspy na morzu. Dlatego właśnie, że to szatany. O, siedzisz tu ze mną w czółnie. Jeszcze z ciebie prawie chłopak. Nie jesteś mądry, bo co dzień mówię ci wiele rzeczy, których nie wiesz. Kiedy byłem malcem, wiedziałem więcej o rybach i ich obyczajach niż ty obecnie. Jestem starym człowiekiem, ale mogę opuścić się aż na dno laguny, a ty nie potrafisz podążyć za mną. Do czego ty w ogóle jesteś zdatny? Nie wiem; chyba tylko do walki. Nie widziałem cię nigdy walczącego, ale wiem, żeś podobny do swoich braci i że na pewno bijesz się jak szatan. Poza tym jesteś głupiec podobnie jak twoi bracia. Nie wiesz, kiedy przegrywasz. Będziesz się bił aż do śmierci, a wtedy już za późno połapać się, żeś pobity.

Otóż słuchaj, co zrobił ten oficer. Kiedyśmy podpłynęli, pokrywając morze czółnami i dmiąc w konchy, odbił w łódce od szkunera razem z trzema czarnymi chłopcami i zaczął wiosłować w stronę przesmyku. W tym także był głupcem, bo żaden mądry człowiek nie wypłynie na morze w tak małej łodzi. Jej burty wystawały nad wodę o niespełna cztery cale. Ścigało go dwadzieścia czółen z dwustu młodymi ludźmi. Gdy my przepływaliśmy pięć sążni, jego chłopcy posuwali się o jeden. Nie miał żadnych szans, ale był głupi. Stanął w łodzi z karabinem i zaczął strzelać. Nie strzelał dobrze, ale kiedyśmy się przybliżyli, wielu z nas zabił albo poranił. Mimo to nadal nie miał żadnej możliwości ocalenia.

Pamiętam, że przez cały czas palił cygaro. Płynęliśmy prędko, a gdy byliśmy już o czterdzieści stóp, opuścił karabin, zapalił od cygara łaskę dynamitu i cisnął w nas. Potem zapalił następną i jeszcze jedną, i tak rzucił w nas bardzo szybko wiele tych łasek. Teraz wiem, że musiał porozszczepiać końce lontów i powtykać w nie główki zapalek, bo chwyciły ogień od razu. Zresztą lonty były bardzo krótkie. Niektóre łaski dynamitu wybuchały w powietrzu, ale większość rozerwała się w czólnach. A za każdym razem, gdy wybuchały w czólnie, już było po nim. Z dwudziestu czółen połowa poszła w drzazgi. Czólno, w którym siedziałem, zostało rozerwane wraz z dwoma ludźmi siedzącymi obok mnie. Łaska dynamitu upadła między nich. Inne czólno zaczęły zawracać i uciekać. Wtedy oficer ryknął: „Yah! Yah! Yah!” Znow zaczął strzelać i wielu naszych uciekając zginęło od kul w plecy. A czarni w jego łodzi wiosłowali bez przerwy. Widzisz, że mówiłem ci prawdę: ten oficer był szatanem.

Ale to jeszcze nie wszystko. Zanim zszedł ze szkunera, podpalił statek i tak porozkładał proch i dynamit, że wszystko wybuchło jednocześnie. Na pokładzie było kilkuset naszych ludzi, którzy właśnie próbowali zagasić pożar wciągając wodę wiadrami przez burtę, gdy wtem statek wyleciał w powietrze. I tak utraciliśmy wszystko, o cośmy walczyli, a poza tym zginęło wielu naszych. Czasami jeszcze teraz, na starości miewam złe sny i słyszę straszny jak grom krzyk tego oficera: „Yah! Yah! Yah!” Ale tamci, co byli w obozowiskach, wyginęli do nogi.

Oficer przepłynął przesmyk w tej małej łódce, a myśmy byli pewni, że już po nim, bo jakie taka łódeczka z czterema ludźmi mogła utrzymać się na oceanie? Minął miesiąc, aż tu któregoś rana, między jednym szkwałem deszczowym a drugim, wpływa przez przesmyk szkuner i rzuca kotwicę naprzeciw wioski. Król i przywódcy zwołali wielką naradę i w końcu postanowiono, że za kilka dni napadniemy na statek. Tymczasem, ponieważ zawsze mieliśmy zwyczaj zachowywać pozory przyjaźni, podpłynęliśmy czólnami przywożąc wiązki orzechów kokosowych, ptactwo i świnie na handel. A gdy nasze czólno zbliżyły się do statku, ludzie z pokładu zaczęli do nas strzelać, a kiedyśmy rzucili się do ucieczki, zauważyłem tego oficera, co wówczas wypłynął na morze w małej łodzi. Wskoczył teraz na burtę statku, zaczął tańczyć i krzyczeć: „Yah! Yah! Yah!”

Tego popołudnia przyplłynęły od szkunera trzy niewielkie łodzie pełne białych ludzi. Przeszli przez całą wieś strzelając do każdego, kogo napotkali. Wystrzelali też drób i świnie. My, którzyśmy uniknęli śmierci, wskoczyliśmy do czółen i powiosłowali na lagunę. Oglądając się widzieliśmy wszystkie chaty w ogniu. Pod wieczór zobaczyliśmy wiele czółen z Nihi, tej wioski, która leży na północnym wschodzie, nad przesmykiem Nihi. Tylko tyłu ich zostało, a wioskę, podobnie jak naszą, spalił drugi szkuner, który wpłynął przez tamten przesmyk.

Wiosłowaliśmy dalej w ciemnościach na zachód, ku Pauloo, ale w nocy usłyszeliśmy zawodzenia kobiet i natknęliśmy się na wielką flotyllę czółen. Było to wszystko, co pozostało z Pauloo, też leżącego w zgliszczach, bo trzeci szkuner przyplłynął przesmykiem Pauloo. Jak widzisz, ten oficer i jego czarni wcale nie utonęli. Dostał się na Wyspy Salomona i tam opowiedział swym braciom, co zrobiliśmy na atolu Oolong. Wszyscy jego bracia oznajmili, że przyjdą nas ukarać, i przyplłynęli na tych trzech szkunerach, a nasze trzy wioski zrównali z ziemią.

I cóż mieliśmy robić? Rano dwa szkunery dopędziły nas od nawietrznej na środku laguny. Wiał silny pasat i powywracali dziesiątki czółen. A karabiny nie milkły ani na chwilę. Rozproszyliśmy się niczym latające ryby, gdy uciekają przed bonitą, a było nas tylu, że tysiące zmykały we wszystkie strony, ku wysepkom na skrajach atolu.

Potem szkunery zaczęły nas ścigać po całej lagunie. W nocy udawało się nam przemknąć obok nich. Ale wiedzieliśmy, że nazajutrz albo za dwa, trzy dni wrócą i znowu nas pognają na drugi koniec laguny. I tak się stało. Już nie liczyliśmy ani nie mogliśmy spamiętać zabitych. Prawda, że nas było

wielu, a tamtych mało. Ale cóż mogliśmy zrobić? Ja byłem w jednym z dwudziestu czółen, pełnych ludzi, którzy nie bali się śmierci. Uderzyliśmy na najmniejszy szkuner. Powystrzelali nie wiedzieć ilu naszych. Ciskali w czołna dynamit, a kiedy im go zabrakło, zlewali nas wrzątkiem. Karabiny nie przestawały gadać ani na chwilę. Ci, których czołna rozbito, ginęli od kul podczas ucieczki w pław. A oficer wciąż tańczył na dachu kajuty i ryczał: „Yah! Yah! Yah!”

Każda chata na każdej, nawet najmniejszej, wysepce poszła z dymem. Nie ocalała ani jedna świnka czy kura. Nasze studnie zanieczyszczono wrzucając do nich trupy albo też zasypano po wręby skałkami koralowymi. Przed przybyciem szkunerów było nas na Oolongu dwadzieścia pięć tysięcy. Gdy odpłynęły, zostało ledwie trzy, jak się zaraz przekonasz.

Wreszcie szkunery zmęczyły się pędzaniem nas tam i z powrotem. Popłynęły więc do Nihi, na północny wschód. Potem zaczęły nas gnać ciągle na zachód. Ich dziewięć szalup też było na wodzie. Po drodze przetrząsali każdą wysepkę. Pędzili nas tak przed sobą, pędzili i pędzili dzień po dniu. A co noc wszystkie trzy szkunery i dziewięć szalup stawało łańcuchem od skraju do skraju laguny, abyśmy nie zawrócili i nie zdołali się wymknąć.

Nie mogli nas tak gnać bez ustanku, bo laguna gdzieś się kończyła, więc wreszcie tych z nas, co pozostali przy życiu, wpędzili na ostatnią ławicę piaskową w zachodniej stronie. Dalej otwierało się już pełne morze. Było nas dziesięć tysięcy i pokryliśmy całą tę ławicę od skraju laguny aż po huczące z drugiej strony atolu fale pełnego morza. Nikt nie mógł się położyć. Nie było miejsca. Staliśmy bok w bok i ramię w ramię. Dwa dni nas tak trzymali, a oficer wdrapywał się od czasu do czasu na olinowanie, drwił z nas i krzyczał: „Yah! Yah! Yah!”, aż zaczęliśmy gorzko żałować, żeśmy przed miesiącem zrobili krzywdę jemu i jego szkunerowi. Nie mieliśmy co jeść i staliśmy tak dwa dni i dwie noce. Małe dzieci pomarły, pomarli też starzy, słabi i ranni. Co najgorsze, nie mieliśmy wody, aby ugasić pragnienie, a przez dwa dni prażyło nas słońce i nigdzie nie było ani odrobiny cienia. Wielu mężczyzn i kobiet weszło do morza i potonęło, a fale wyrzuciły ich ciała z powrotem na plażę. Przyszła też plaga much. Niektórzy podpłynęli w pław do szkunerów, ale wystrzelano ich do ostatniego. My zaś, pozostali przy życiu, żalowaliśmy bardzo, że w naszej pysze poważyliśmy się napaść na trzymasztowy szkuner, który przyplłynął łowić trepangi.

Rankiem trzeciego dnia przybyli w małej łodzi kapitanowie trzech statków z tym oficerem. Wszyscy mieli karabiny i rewolwery. Zaczęli z nami rozmawiać. Mówili, że przestali nas zabijać tylko dlatego, że już ich to zmęczyło. A my odpowiedzieliśmy, że żałujemy i nigdy więcej nie pokrzywdzimy białego człowieka, na dowód zaś uległości posypaliśmy sobie głowy piaskiem. Wszystkie kobiety i dzieci podniosły taki wrzask o wodę, że przez jakiś czas nikt nie mógł ich przekrzyczeć. W końcu powiedzieli, jaka nas spotka kara. Musimy naładować wszystkie trzy szkunery koprą i trepangami. Zgodziłam się, bo chcieliśmy wody, serca nasze były zgnębione i wiedzieliśmy, że w walce jesteśmy dziećmi wobec białych ludzi, którzy biją się jak szatany. A gdy już skończyły się rozmowy, oficer wstał i zaczął z nas kpić i ryczeć: „Yah! Yah! Yah!” Potem odpłynęliśmy czołnami w poszukiwaniu wody.

Przez całe tygodnie w ciężkim trudzie chwytałyśmy i wędzili trepangi, zbieraliśmy kokosy i przerabiali je na koprę. Dzień i noc ze wszystkich plaż na wszystkich wysepkach atolu Oolong wznosiły się chmury dymu. Tak płaciliśmy za zły postępek. Albowiem w tych dniach śmierci w mózgu każdego z nas wypaliła się jasno prawda, że bardzo źle jest krzywdzić białego człowieka.

Kiedy szkunery wypełnione już były koprą i trepangami, a nasze drzewa obrane z kokosów, trzech kapitanowie i oficer zwołali nas na wielką rozmowę. Powiedzieli, iż bardzo są radzi, że dostaliśmy nauczkę, a myśmy po raz tysięczny powtórzyli, bardzo żałujemy i więcej już tego nie zrobimy. I znów posypaliśmy sobie głowy piaskiem. Wtedy kapitanowie orzekli, że wszystko to bardzo dobrze, lecz

aby nam pokazać, że o nas nie zapominają, przyślą diabła, którego na zawsze zapamiętamy, ilekroć przyjdzie nam chęć skrzywdzić białego człowieka. Oficer raz jeszcze naśmiał się z nas i zaryczał: „Yah! Yah! Yah!” Następnie sześciu naszych ludzi, których mieliśmy za dawno zmarłych, wysadzono na ląd z jednego ze szkunerów, a statki rozwinęły żagle i odpłynęły przez przesmyk w kierunku Wysp Salomona.

Tych sześciu, których wysadzono na ląd, najpierw złapało owego diabła, nasłanego przez kapitanów.

— I przysła wielka choroba — przerwałem rozpoznawszy podstęp. Na pokładzie szkunera panowała odra i sześciu jeńców umyślnie nią zarażono.

— Tak, wielka choroba — ciągnął Oti. — To był potężny diabeł. Najstarsi ludzie nie słyszeli o czymś podobnym. Tych kapitanów, którzy jeszcze żyli, pozabijaliśmy za to, że nie umieli pokonać diabła. Choroba się szerzyła. Mówiłem, że dziesięć tysięcy naszych stało bok w bok i ramię w ramię na tamtej ławicy. Kiedy choroba odeszła, zostało przy życiu trzy tysiące. A że kokosy przerobiliśmy na koprę, więc zaczął się głód.

— Ten kupiec — kończył Oti — on jak kawałek błoto. On jak śmierdzący ślimak, co zdycha, kiedy go *kai-kai*. On jak pies, chory pies z dużo pcheł. My nie bać ten kupiec. My bać dlatego, że on biały człowiek. My dobrze za bardzo wiedzieć, że źle zabijać biały człowiek. Ten chory pies kupiec, u niego dużo brat, dużo biały człowiek taki jak ty, co walczyć jak szatan. My nie bać ten przeklęty kupiec. Czasem kanaka mnóstwo źli na niego i kanaka chcieć go zabić, ale kanaka myśleć: on diabeł i kanaka słyszeć ten oficer krzyczeć: „Yah! Yah! Yah!” i kanaka go nie zabić.

Oti założył na haczyk kawałek mątwy, który oderwał zębami od żywego, wijącego się ciała potwora, po czym haczyk razem z przynętą znikł w głębinie wśród białych lśnień fosforescencji.

— Rekin już nie podpłynąć! — powiedział.

— Myślę, że złapiemy dużo ryb.

Linka szarpnęła się gwałtownie. Począł ją szybko wybierać oburącz i rzucił na dno czołna wielkiego, drgającego sztokfisa.

— Jak słońce on wy leżć, ja zrobić ten przeklęty kupiec podarunek z ten duża ryba — powiedział Oti.

Przygotowano na podstawie bookini.pl